

**Liceum Ogólnokształcące
im. Jarosława Iwaszkiewicza
w Brwinowie**

Gdy otworzyliśmy drzwi...

Reportaż o rodzinie Turczyńskich z Brwinowa, Sprawiedliwych
wśród Narodów Świata, zrealizowany w ramach przedsięwzięcia
„Spotkania Młodzieży ze Sprawiedliwymi”



Autorki:

Karolina Burchacka
Gloria Embradora
Anna Jaworska
Patrycja Kuczabo
Zuzanna Russyan

Opiekun:

Elżbieta Baczewska

30.03.2014 r.



1. Pani Wanda dzisiaj, 2014 r.

Sprawiedliwa wśród Narodów Świata mieszka przy ulicy Zwycięzców

Pani Wanda ma dźwięczny głos. Opowiada z werwą. Jest rzeczowa, konkretna i tylko chwilami zawiesza głos, zastanawiając się. Momentami wyraźnie się wzrusza. Ma świetną pamięć i umiejętność snucia wspomnień. Umie zaciekawić.

Pani Wanda Kołomijska (z domu Turczyńska) ma dzisiaj 82 lata i utrwała przeszłość swojej rodziny. Jest jedną ze Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Mieszkanie pani Wandy w nowoczesnym bloku jest jasne. Na ścianach oprawione hafty, w tym ten najważniejszy, maki, wyczarowane jeszcze przed wojną przez panią Helenę. Ze zdjęć stojących na komodzie można w zarysie odtworzyć życie rodzinne pani Wandy. Obok fotografii męża, dzieci, wnuków stoi zdjęcie mamy. Szczegóły z życia pani Wandy da się odtworzyć ze zdjęć, które kryją się w albumach i pudłach. Pani Wanda rozkłada je z pietyzmem i zaczyna snuć opowieść.



2. Maki wyhaftowane przez Panią Helenę Turczyńską.

Mama była najważniejsza



3. Helena Turczyńska, 1930 r.

Helena Turczyńska tuż przed wybuchem wojny miała 40 lat, męża, dwie córki i spokojne życie. Z zawodu była pielęgniarką i pracowała w Szpitalu Wojskowym w Warszawie. Bardzo lubiła haftować i robiła to przepięknie. Właśnie wraz z mężem wybudowała dom w Brwinowie i snuła plany na najbliższą przyszłość. Jak każdy. I jak każdy musiała te plany weryfikować. Ale podczas okupacji zachowała się nie jak każdy – dużo lepiej.

Mama była najbardziej decyzyjną osobą w rodzinie - wspomina córka Wanda. Przekazała najbliższym swoją odwagę. To właśnie od niej zaczęło się pomaganie Żydom. Wyznawała zasadę: Kochaj bliźniego jak siebie samego i realizowała ją, chociaż tym samym narażała życie swoje i swoich bliskich. Niesienie pomocy było dla niej oczywiste i naturalne. Każdy, kto o pomoc poprosił, otrzymywał ją. Nie widziała w tym nic niezwykłego. Nie tylko przez domowników, ale i znajomych uważana była za ciepłą i serdeczną kobietę. Była to osoba sympatyczna, uwielbiająca dzieci, a także bardziej zaradna

niż mąż – mówi pani Ada Galicz, przyjaciółka Wandzi od dzieciństwa. Wszystko w domu działa się pod jej dyktando. Sprawy codzienne: zaopatrzenie w żywność, środki czystości, opał, naftę, karbid itp. były na jej głowie. Zajmowała się praniem, oczywiście z pewną pomocą podopiecznych. Musiała dbać o to, by nikt nie domyślił się, że w domu przebywa dwanaście lub nawet piętnaście osób zamiast ich czworga. Myślała także o tym, gdzie można by było przetransportować część osób ukrywających się w ich domu w razie zagrożenia. Kiedy pani Wanda snuje wspomnienia, często powtarza: *O mamie trzeba powiedzieć, że zawsze umiała sobie poradzić i wspierała każdego, kto tego potrzebował. Wszyscy zawsze wspominali wielkie serce mamy.*

Tata był muzykiem, żył nutami



4. Bolesław Turczyński

Człowiek trochę oderwany od rzeczywistości, pochłonięty muzyką. Nie wtrącał się w decyzje żony, ale akceptował je. *Był dobroduszny, nie bawił się jednak z dziećmi, ale czasami poklepywał po głowie* - tak Bolesława Turczyńskiego, tatę swojej przyjaciółki, zapamiętała pani Ada. Był podziwiany przez znajomych za talent muzyczny. *Pan Turczyński grał na pianinie i Zosia też. On widział, że ja bardzo się wzruszam tą muzyką i nawet próbował mnie uczyć grać na pianinie* – wspomina pani Ora Kamay (kiedyś Lusia Montrol). W czasie wojny więcej czasu spędzał w Warszawie, gdzie pracował jako urzędnik w Elektrowni. *Z jego zatrudnieniem było tak: w trzydziestym dziewiątym jechał do Warszawy szukać pracy. Z przedziału Nur für Deutsche wyszedł Niemiec, Bertrand miał na nazwisko, i zaczął rozmawiać z ojcem. Powiedział, że szuka pracowników do Elektrowni i tata po namyśle się zgodził. I tak między Brwinowem a Warszawą zapadła decyzja, że idzie do pracy w Elektrowni.* Był także kapelmistrzem orkiestry pracowników Elektrowni. Należał do Armii Krajowej. Przywoził do Brwinowa ulotki i gazetki. Przestał je kolportować, gdy wzrosło niebezpieczeństwo odkrycia Żydów w ich domu, gdyby został złapany.

Zosia żyła własnym życiem

Starsza córka państwa Turczyńskich w momencie wybuchu wojny miała dwanaście lat. Pomagała w codziennych czynnościach, chociaż nie mogła uczestniczyć zbyt aktywnie w życiu rodzinnym, ponieważ dojeżdżała do szkoły zawodowej w Warszawie. Wychodziła z domu o 6.30, a wracała najczęściej z tatą około 18-20. Od czasu do czasu grała na pianinie, miała niezaprzeczalny talent. *Podziwiałam ją, jak grała* - mówi przyjaciółka pani Wandzi, Ada. Gdy Zosia zaczynała grać, w domu od razu robiło się weselej, a dziewczynki (Wandzia i Ada) śpiewały i tańczyły. W stosunku do młodszej siostry Zosia była opiekuńcza, choć czasami rygorystyczna. Była bardzo odpowiedzialna. Pod koniec września 1941 roku dostała propozycję wstąpienia do harcerstwa, którą przyjęła, gdyż było to jej marzeniem. Zosia zaangażowała się w podziemną działalność Szarych Szeregów i działała jako sanitariuszka Okręgu Warszawskiego AK. Pomagała głównie w znajdowaniu



5. Zosia Turczyńska-Gajewska

kryjówek dla odbitych więźniów. Ze swoimi koleżankami z oddziału przyjeżdżała do Brwinowa, gdzie pani Helena uczyła je bandażowania, robienia zastrzyków, podstawowych umiejętności pielęgniarstwa. Chodziły też do Podkowy Leśnej, gdzie ćwiczyły marsz na orientację, posługiwanie się mapą. Za swoją działalność otrzymała liczne odznaczenia m.in.: srebrny i złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Armii Krajowej, Warszawski Krzyż Powstańczy, a także Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, który otrzymała 23 grudnia 2013 r. Jest Zasłużoną wśród Narodów Świata. Niemal przez całe życie związana była z Brwinowem. Przez wiele lat przewodniczyła brwinowskiemu kołu Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Jest także członkiem Towarzystwa Przyjaciół Brwinowa. Jest Honorowym Obywatelem Brwinowa od 2005 roku.

Wandzia była małą pomocnicą

Wandzia miała piękne grube włosy. Cesała je w warkocz albo zaplatała w koszyczek – to wspomnienie pani Ady. Tych pięknych warkoczy zazdrościła też Wandzi Lusja Montrol (dzisiaj Ora Kamay). Zawsze była szybka, energiczna, łatwo nawiązywała kontakt z innymi. Z nią nigdy nie było nudno. Zawsze coś wymyśliła i pociągnęła za sobą innych. Taka mała przywódczyni. Te cechy bardzo przydały się w czasie okupacji, gdy trzeba było pomagać rodzicom w codziennych i niecodziennych obowiązkach. Wyjścia po zakupy, pomoc w praniu i gotowaniu - to te codzienne. Przenoszenie ulotek, wyprawy do Warszawy, przewożenie Żydów z Brwinowa do Grodziska Mazowieckiego lub Żyrardowa – to niewątpliwie obowiązki niecodzienne.



6. Mała Wanda (z lewej) wraz ze swoją przyjaciółką Adą Galicz (z domu Panek) i mamą.

Leśna 28, dzisiaj 32



Stoimy przed niepozornym, szarym, zwykłym domem, na którym widać upływ czasu. Dzisiaj jest pusty, sprawia wrażenie zapomnianego. Kiedyś ten piętrowy dom tętnił życiem. Dzisiaj wokół niego nie ma wolnej przestrzeni, wszystkie działki są zabudowane. Z sąsiednich posesji można zajrzeć do ogrodu przy Leśnej 32. Za czasów Leśnej 28, czyli przed wojną i w czasie jej trwania, wokół były puste place. W pewnej odległości od domu państwa Turczyńskich mieszkaly rodziny: Panków - z dwiema córkami, z których młodsza, Ada, stała się przyjaciółką pani Wandy - Kellerów, Jastrzębskich i Tarwidów. Dziadkom, spędzającym przez dwa lata miesiące letnie w Jaktorowie, spodobała się nazwa Letnisko Brwinów, krajobraz oraz cisza i spokój obrzeży miasteczka. *Działkę w trzydziestym piątym roku kupili rodzice od Karwasserów, natomiast w materiały budowlane zaopatrywali się u Weisblattów* – wspomina pani Wanda. O budowie domu wspólnie zdecydowali dziadkowie i rodzice pani Wandy pod koniec 1935r. Po powrocie dziadków z Syberii w 1927 lub 1928r. i zdomowieniu się w Warszawie w ich mieszkaniu przy ulicy Twardej 15 zrobiło się ciasno.

Początkowo na działkę w Brwinowie wchodziło się tylko od ulicy Sportowej, później została dokupiona niewielka część placu od Karwasserów, aby było wyjście na Leśną. W czasie wojny przejście na Sportową zostało zamknięte.

Dom był duży i wygodny, chociaż początkowo tylko parter został wykończony. Na dole były cztery pokoje, obszerna kuchnia oraz łazienka. Dwa ostatnie pokoje były w amfiladzie i można było przejść z jednego do drugiego, co okazało się bardzo przydatne w czasie okupacji, gdy trzeba było ukryć tych, którzy mieli pozostać niewidocznymi. Na piętrze znajdowały się trzy pokoje, zajęte później przez przesiedleńców z Poznańskiego.

Jak wspomina pani Wanda, *pod koniec sierpnia 1939r. zaczęło się prawdziwe mieszkanie w Brwinowie*. Początkowo zamiar był taki, że w nowym domu zamieszkają dziadkowie z małą Wandzią, która dopiero zacznie naukę, a rodzice z Zosią zostaną w Warszawie, gdzie córka miała chodzić do gimnazjum. Wybuch wojny pokrzyżował plany i cała rodzina przeniosła się do Brwinowa.

Kiedyś ten dom był schronieniem dla potrzebujących, o czym wówczas nie wiedział nikt z sąsiadów, a i dzisiaj niewiele osób pamięta.



Najpierw byli Weisblattowie

Do dziś nie rozumiem, dlaczego Weisblattowie pojawili się właśnie u nas. Weisblattowie prowadzili skład materiałów stolarki budowlanej i byli właścicielami stolarni, mieszczących się na terenie dzisiejszego targowiska w Brwinowie. Można było u nich kupić okna i drzwi na zamówienie. Cała rodzina mieszkała w stojącym do dziś budynku przy rynku w Brwinowie, u zbiegu ulic Wiejskiej i Powstańców Warszawy.



7. Adaś i Jerzyk Weisblattowie

Była to znana nam rodzina, gdyż dziadek często zabierał mnie ze sobą, gdy szedł kupować u nich materiały. Zostawałam wtedy u nich na podwórku – tak opowieść o Weisblattach rozpoczyna pani Wanda. Tam też mała Wandzia poznała młodszego syna Weisblattów, Adasia. Był to bardzo żywy chłopiec i uwielbiał bawić się w berka. W tej zabawie często towarzyszył im starszy z braci, Jerzyk. Rodzice również znali tę rodzinę, gdyż płacili za kupowane u Weisblattów materiały na budowę domu. Nie łączyły jednak tych rodzin jakieś szczególne więzi. Dlatego nie wiem, czemu Weisblattowie zapukali właśnie do naszych drzwi. Pamiętam, że pod koniec czterdziestego roku w naszym mieszkaniu pojawiła się pani Chaja i jej syn, Józef. Zapytani o powód swojego przyścia wyjaśnili, że zbliża się ostatni termin pójścia do getta. Pani Chaja wtedy powiedziała do mojej mamy:

- *Pani Heleno, oni już muszą iść, ale ja nie.*
- *Czy mama mogłaby na jakiś czas się u pani zatrzymać?*
- *To poważna sytuacja. Ja mam rodzinę.*
- *Ja panią błagam.*

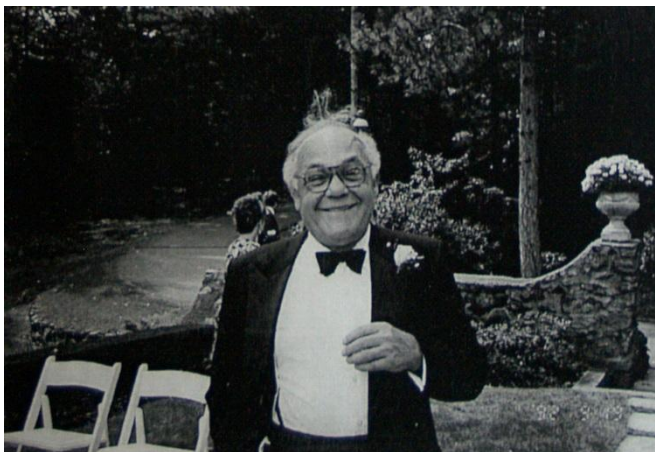
Mama zgodziła się. Zaznaczyła wtedy, żeby przyszli w dniu, w którym reszta ich rodziny będzie opuszczać Brwinów. Miało to ukryć fakt jej przeprowadzki do nas. Ani mojego ojca, ani siostry nie było podczas tej rozmowy w domu. Wieczorem, kiedy rodzina była w komplecie, mama powiedziała, że postanowiła o przyjęciu na jakiś czas do domu pani Chai. Stanowczo stwierdziła, że nikt nie może się o tym dowiedzieć, bo za to grozi śmierć. A trzeba dodać, że to, co mówiła mama było święte i trzeba było przestrzegać. Po dwóch dniach przed godziną policyjną pani Chaja pojawiła się u nas ponownie, trzymając w ręku tekturową walizeczkę. Mama postanowiła, że dostanie ona mały, dziecienny pokój. I w ten sposób mieliśmy nowego członka rodziny. Nazywałam ją po prostu babcią.

Chaja Weisblatt uniknęła przeprowadzki do warszawskiego getta, ale bardzo tęskniła za rodziną i chciała być z bliskimi. Wnukowie, Adaś i Jerzyk, przyjechali z getta sami, *Nauczeni byli, żeby o strasznych rzeczach z getta nie mówić babci.* Pani Wanda wspomina, że po powrocie z Warszawy chłopcy zmienili się: *Kiedy do nas chłopcy przybyli z getta, to byli nie tacy sami jak przed wojną, jakich znałam. Chłopcy byli mizerni, milczący, cisi i wystraszeni. Adaś przytulał się do babci i często płakał.*

Z czasem zaczynało pojawiać się coraz więcej problemów. Trudności ze zdobywaniem jedzenia i ciągły strach przed Niemcami stale dawały o sobie znać. Jednak mimo to zawsze znajdowano jakieś rozwiązania – całe jedzenie rozdzielano między wszystkich przebywających w mieszkaniu. Kiedy u Turczyńskich zrobiło się naprawdę ciasno, *zagaściło*

się od potrzebujących schronienia, zrobiło się hałaśliwie, trzeba było szukać lokum wśród rodziny i znajomych. Brat mamy, Wacław Bors, mieszkający w rodzinnym folwarku na wsi za Żyrardowem (5 km) zgodził się przyjąć babcię Chaję z dwoma wnukami. Życie na wsi było lepsze – była możliwość wychodzenia na zewnątrz na pola i łąki. Było tam pod dostatkiem mleka, jajek, chleba, a czasami nawet mięsa.

Dostarczenie chłopców i babci (matka chłopców była chora i musiała zostać w domu) na nowe miejsce spadło na panią Wandę. Pani Helena zaplanowała całą ich podróż. Rankiem następnego dnia wyszliśmy z domu zgodnie z planem. Babcia, ponieważ miała semicki wygląd, założyła na głowę chustkę, żeby zasłaniała jak największą część twarzy. Udawała, że bolą ją zęby. Cały czas udawaliśmy, że się nie znamy. Ja kupiłam bilety i przechodząc koło Weisblattów, rozdałam je. Jechaliśmy w tym samym wagonie, ale stale udawaliśmy, że jesteśmy osobno, nawet gdy już wysiedliśmy. Po dotarciu w bezpieczne miejsce radość chłopców była ogromna. Babcia uspokajała ich okrzyki. Poczuli się swobodnie i zaczęli rozmawiać o czasie, kiedy wojna się skończy. Adaś powiedział wówczas to, co pani Wanda pamięta tak wyraźnie do dzisiaj i na wspomnienie czego drży jej głos: - Wandzia spotkamy się i zjemy po bułce z masłem z szynką i wypijemy duży kubek kakao. Weisblattowie wrócili do Brwinowa niecały rok później, mimo że Turcyńscy tłumaczyli, że niepotrzebnie się upierają i na wsi mają lepsze warunki. Tym razem pani Helena załatwiła im lokum u rodziny Wężowczyków, gdzie zamieszkali w piwnicy z jednym małym okienkiem. Gdy zaczęły się choroby, mama pani Wandy przychodziła z lekarstwami, mimo że nie było to bezpieczne. Jej wizyty zwracały uwagę. Do tej pory rodziny nie odwiedzały się wzajemnie i tak częste kontakty mogły budzić podejrzenia.



8. Adam Weisblatt w 1992 r., Stany Zjednoczone.

Jerzy zmarł na rękach brata w 1943 roku na gruźlicę, a w styczniu 1945, już po wkroczeniu wojsk radzieckich, umarła matka. Ojciec Józef zginął w getcie. Jesienią czterdziestego piątego roku z Paryża do Brwinowa przyjechał Samuel Weisblatt, brat Józefa, który mieszkał z rodziną od 1936r. we Francji, a po wojnie przyjechał odszukać najbliższych. Trafiał do nas. Była babcia Chaja. Adasia nie było, wyjechał do Berlina, koniecznie chciał wyjechać do Ameryki, do cioci Lili. Pan Samuel był kilka dni u nas. Chciał odzyskać miejsce po składzie i duży plac przy Leśnej. Ale wszystko przeszło na państwo. Nawet nie odzyskali rzeczy z mieszkania. Mogli je odkupić od nowych właścicieli. Dostali tylko zdjęcia. Za rok, może w czterdziestym szóstym, Samuel zabrał mamę Chaję - była wtedy jeszcze u nas.

Dużo później, już w Ameryce, Adam opisał swoje wspomnienia z okresu wojny. Pisał w nich o wydarzeniach, jakie miały wtedy miejsce w Warszawie. Opowiadał o nieludzkich warunkach, w jakich żył w getcie: *Znalezienie mieszkania graniczyło z cudem. Udało nam się znaleźć 1 pokój dla nas wszystkich.* O nękających Żydów głodzie, chorobach, przemocy: *Głód, przeludnienie, epidemia tyfusu – to coś, czego nauczyliśmy się od razu.* O byciu świadkiem zabójstw: *Niemcy weszli do pokoju zajmowanego przez wuję, który cierpiał na sklerozę. Kazali mu wstać z łóżka. Nie był w stanie tego zrobić, więc posadzili go na krześle kuchennym i wyrzucili przez okno – z 4 piętra.*

Wiele z tych dramatycznych scen ciągle go dręczyło, miewał częste koszmary. Próbował nawet popełnić samobójstwo.

W Ameryce ożenił się, miał w sumie trzech synów, w tym dwóch z pierwszego małżeństwa żony, których usynowił i oni noszą nazwisko Weisblatt. Nie opowiadał o przeszłości i tylko zbieg okoliczności sprawił, że na jednym ze spotkań powiedział, że jest polskim Żydem. Zebrani wyypytywali go o Holocaust, a jeden z obecnych tam dziennikarzy zaproponował, żeby Adam Weisblatt napisał wspomnienia. Po jakimś czasie Adaś napisał je po angielsku. Pani Wanda dostała je od synów Adama, a jej wnuczka przetłumaczyła na język polski.

Sept 27, 1958

Dear Wanda

Please forgive me for answering your letter in English, however, it has been a long time since I left Poland and it is rather difficult for me to express myself in Polish.

It was wonderful to hear from you. For a moment I couldn't believe my eyes when I got your letter I most certainly am curious about all that has happened to you in all these years.

I most certainly intend to write you more and tell you all about myself as soon as I'll hear from you again and know whether you have been able to find anyone to translate my letter for you.

Best regards,
Adam

My address is: Adam Weisblatt
c/o Rosenstein
149 East 92nd St.
Brooklyn N.Y.

9. List wysłany przez Adasia Weisblatta do Pani Wandy w 1958 r.

Poznaliśmy się przy pyzach

Adam Gutgisser-Drozdowicz wyjechał po wojnie najpierw do Wiednia, potem do Izraela, aż osiadł na stałe w Brazylii. Do Polski już nie wrócił. Zmarł w wieku 95 lat. *Dla mnie zawsze Adkiem był i Adkiem pozostanie – mówi pani Wanda z uśmiechem. I dla moich rodziców, i dla rodzeństwa swojej żony.*



10. Pierwszy przyjazd Adama i Krystyny Drozdowiczów do Polski – 1989 r. Na zdjęciu wraz z Bolesławem Turczyńskim, Wandą Kołomijską oraz synem Pani Wandy Jerzym Kołomijskim i jego żoną Agnieszką.

Nie dość, że blondyn, to jeszcze niebieskooki. Kto by pomyślał, że jest Żydem. Rysów semickich nie miał, dlatego żaden z mieszkańców bloku przy ul. Hożej w Warszawie, gdzie Adam Gutgisser od 1941r. wynajmował pokój od dwóch samotnych pań, nie nabrał podejrzeń co do jego pochodzenia. Trzeba dodać, że w okolicy tego domu bywało sporo osób, zwłaszcza że było to lokum tuż nad samym pogotowiem. Lekarzy wtedy było mało, więc kolejki ciągnęły się bez końca.

Po otrzymaniu od profesora Uniwersytetu Warszawskiego, pana Kazimierza Basalika, którego był asystentem, kenkarty na nazwisko Drozdowicz już nie Adam, a Edward był później w Powstaniu lekarzem III batalionu AL Żoliborz. Był także pracownikiem Czerwonego Krzyża, co znacznie ułatwiało mu kontakt z mieszkańcami getta, skąd udało mu się uciec na początku 1942 r. Została tam jego rodzina, którą usiłował wydostać, i szukał dla niej bezpiecznego schronienia u Turczyńskich w Brwinowie.

Zapukał w pierwsze okno tak jak było trzeba: puk, puk, przerwa, puk, puk. W szybę. Trzy razy. Od pana Józefa Weisblatta wiedział, że w tym domu mieszka bardzo przyzwoita rodzina - wspomina pani Wanda.

Pamiętam, że jadłam wtedy pyzy. Siedzę w kuchni przy stole i jem pyzy, bo ta babcia Chaja czasami gotowała i takie pukanie do tego okna. Patrzę - mężczyzna, przyzwoicie wygląda. Dał takie hasło, które ja znałam. Otworzyłam drzwi w kuchni, wyszłam do sionki [...].

- Słucham, a pan do kogo ?

- Ja do pani Heleny Turczyńskiej.

- Mama nie ma w domu , ale o co chodzi? ktoś chory? - bo myślałam, że może ktoś potrzebuje pielęgniarki.

- No, nie. Może byś mnie mogła wpuścić?

- Dobrze, proszę, niech pan usiądzie.

No i patrzy, że ja z takim apetytem jem te pyzy polane ciemnym olejem, więc w którymś momencie mówię:

- Czy pan może też by zjadł? A on mówi, że chętnie. Dałam mu te pyzy, on tak szybko zjadł.

- Mama niedługo wróci, bo poszła po zakupy - mówię.

On tak posiedział, mama przyszła. Zdziwiona wchodzi do mieszkania, mężczyzna siedzi jakiś i on wtedy mówi, że jest z polecenia pana Weisblatta. Pan Józef chciał się dowiedzieć, jak się jego mama czuje.

- Chciałbym z panią porozmawiać, ale to raczej bez córki.

Weszli do pokoju, rozmawiali, że za parę dni przywiezie żonę, potem prawdopodobnie teściową, na końcu ojca. Pokazał kenkartę na nazwisko Drozdowicz, nie wspominając o prawdziwym nazwisku. Po kilku dniach objawiła się u nas nie jego żona, tylko teściowa, Anna Mintz. To ona jest moja babcia Anna.

Ponieważ w getcie została ich trójka, musieli dokonać wyboru, kto z nich ucieknie pierwszy. Postanowili załatwić to przez losowanie. Szczęśliwy los wyciągnęła żona Adama, Raja, która ustąpiła miejsca matce. Dwa dni później Adam miał wrócić po rodzinę, ale gdy tam dotarł, *jedynie znalazł dwie bluzeczki żony*. Zrozumiał, że się spóźnił. Żonę i ojca wywieziono do Treblinki.

Adek zawsze wspominał to pierwsze spotkanie i nawet mając 95 lat, mówił: *Pamiętasz? Poznaliśmy się przy pyzach*.

Od tego momentu Drozdowicz, który uchodził za jednego z licznych braci pani Heleny, bywał bardzo często przy Leśnej 28, dokąd przywoził kolejne osoby do ukrycia: Belę Montrol z córką Lusią, Gothelfów, Rysię - córkę nieżyjącej koleżanki i Gorodeckich. Był bardzo energiczny i zaradny. *Dobry organizator, mobilizował mojego ojca do różnych prac*.

Jak napisał Adam Gutgisser-Drozdowicz w oświadczeniu do Yad Vashem, kiedy pojawił się problem z kryjówką, *dla zwiększenia bezpieczeństwa zrobiliśmy w mieszkaniu prymitywną skrytkę: drzwi do ostatniego pokoju zastawiliśmy szafą, której tylna ściana została zamieniona na drzwi*. Przez tę szafę p. Mintzowa i Montrolowa z Lusią wchodziły do zamaskowanego pokoju i tam spędzały całe dni. Jednak wraz ze zwiększającą się ilością Żydów w mieszkaniu ta *pro wizoryczna kryjówka nie zabezpiecza ukrywających*. Skonstruowaliśmy z p. Bolesławem schronienie bardziej skomplikowane. Został wycięty fragment podłogi, stwarzając dostęp do podziemia domku. Pani Wanda wspomina, że kilka razy cała rodzina i Adek wynosili ziemię na ulicę.

Przygotowano miejsce do siedzenia dla kilku dorosłych osób. *Pod podłogą zrobiliśmy ruchomą (na zawiasach) skrynkę, w której umieszczono fragment rury kanalizacyjnej z kranem, symulując przewód wodociągowy*. Po otwarciu klapy i opuszczeniu skrzynki ukrywający wsuwali się do podziemia, podnosili skrynkę, umocowywali ją ryglami od spodu. *Osoby z zewnątrz nasuwały na miejsce wycięty kawałek podłogi i nasuwały tapczan*. To schronienie uratowało kiedyś wszystkich ukrywających się i całą rodzinę Turczyńskich od niechybnej śmierci.

Po upadku Powstania warszawskiego zamieszkał w Brwinowie również Adek.

Gdy pani Wanda mówi o chęci napisania książki o tamtych czasach, to motywuje ją potrzebą utrwalenia postaci Adka. *Mojego kochanego Adka*.



11. "Drzewko" Adka i Krystyny w Yad Vashem.

Ona jak dzikie zwierzę puściła się pędem...

W 1942 r. Adek pojawił się u państwa Turczyńskich po raz kolejny z osobami szukającymi schronienia. Tym razem przywiózł swoją przyjaciółkę Belę Montrol wraz z córeczką Lusią, która była rówieśniczką Wandzi. Zamieszkały razem z Anną Mintz w ostatnim pokoiku. Babcia Anna była zadowolona z powodu przybycia Beli z dziewczynką. Obie kobiety wspierały się nawzajem i znalazły wspólny język, a z Lusią mogła odrabiać lekcje, które przynosiła ze szkoły Wandzia. *Miała jakieś zajęcie* - dodaje pani Wanda. Jednak w momencie, gdy Adek przywiózł do Turczyńskich rodzinę Gothelfów, zrobiło się nazbyt głośno i bardzo ciasno. Wzrosło też ryzyko, iż Niemcy dowiedzą się o obecności Żydów na Leśnej, więc pani Helena postarała się o miejsce dla Beli i Lusi. Zgodzili się je przyjąć znajomi, mieszkający w Grodzisku Mazowieckim, Janina i Tadeusz Sitarzowie, którzy mieli syna Waldka.

Znowu przewodniczką miała być dziesięcioletnia Wandzia, która doskonale знаła drogę. Na miejsce miały pojechać kolejką EKD. Według wcześniej opracowanego przez panią Turczyńską planu podczas podróży wszystkie miały udawać obce sobie osoby. Zadaniem Wandy było przywitanie się z panem Sitarzem po to, by Bela i Lusja wiedziały, za kim mają iść do nowego lokum. Pani Wanda miała zostać na stacji i wrócić następną kolejką do domu, nim nastanie godzina policyjna.

Plan szybko legł w gruzach za sprawą Lusi. Ponieważ dziewczynka wcale nie opuszczała domu przez rok, więc chwilę po wyjściu na zewnątrz zaczęła bardzo szybko biec przed siebie. *Z Belą nie wiedzieliśmy, co w nią wstąpiło. Ona jak dzikie zwierzę puściła się pędem. Skąd ona miała taką siłę po długim okresie niewychodzenia, to nie wiedzieliśmy. Nie mogliśmy jej dogonić i cały czas wołaliśmy: - Lusja! Lusja!* - z przejęciem opowiada pani Wanda. *Szczęśliwie, że ona się przewróciła, wtedy zaczęła nas wołać i w końcu do niej dobiegaliśmy.* Przez wybryk Lusi straciły dużo czasu i spóźniły się na kolejkę. Postanowiły jednak trzymać się ustalonego planu i pojechać następną kolejką, mając nadzieję, że pan Tadeusz nadal będzie czekał na stacji. Gdy dotarły na miejsce, okazało się, że nikogo od Sitarzów już nie ma. Ponieważ Wandzia znała drogę, postanowiła, że pójdą do nich same. Musiały bardzo uważać, gdyż nastąpiła godzina policyjna i wyprawa była dla nich jeszcze bardziej ryzykowna. Z tego też powodu Wanda nie mogła sama wrócić do domu, więc zapadła decyzja, że przenocuje u wujostwa i wróci rano.

Doszliśmy. W łąkach był ten dom murowany, nieotylnowany. Oni na pierwszym piętrze zajmowali mieszkanie, a na parterze i drugim piętrze mieli lokatorów. Wiadomo jednak, że one nie będą wychodziły, więc wszystko będzie dobrze. Podeszliśmy pod dom. Ja je zostawiłam za takimi komórkami i mówię, że zobaczę, czy oni są sami. Weszłam po schodach na pierwsze piętro, pukam, jakiś rumor w tym mieszkaniu się zrobił. Byli zdziwieni, bo o tej porze to tylko Niemcy przychodzili mężczyzn wyciągać. No i ja się odzywam:

- Wanda jestem.

Otwierają drzwi, oniemiała. Wujek w piżamie, ciocia w koszuli nocnej. Skoro nas nie było na stacji, więc pomyśleli, że sprawa nieaktualna.

- Ty sama jesteś? - spytał wujek.

- Tutaj jestem sama, ale tam jest Bela z Lusią. Ja je zaraz przyprowadzę.

No więc wujek się ubrał, Janina też, a ja po nie poszłam. Weszliśmy do mieszkania.

Przedstawiłam: to Bela, to Lusja.

Co prawda miejsce do spania było nieprzygotowane, ale w końcu wszyscy się jakoś ułożyli. *Moja mama pierwszą kolejką przyjechała sprawdzić, co się stało, że ja nie wróciłam.*

Znowu narobiła rabanu, oni się wystraszyli, szafę nasunęli w tym momencie, na pokój, w którym one były. Mama była ogromnie zdenerwowana - dodaje na koniec pani Wanda. Bela Montrol wraz z Lusią do końca życia nie zapomnieli pomocy, którą ofiarowała im rodzina Turczyńskich, a szczególnie pani Helena.

Bela z córką łącznie ukrywały się w Brwinowie prawie dwa lata.

Tadek zakochał się w Jadzi i powiedział, że nigdzie nie jedzie

Gothelfowie byli bardzo liczną i zamożną rodziną polskich Żydów. Mieszkali w Warszawie na Nowym Świecie, między Placem Trzech Krzyży a ul. Mysią. Przed wojną posiadali potężny majątek m.in.: byli współwłaścicielami dużej kamienicy na rogu ul. Miodowej i Senatorskiej w Warszawie. Podczas wojny udało im się ocalić i przechować trochę biżuterii, dolarów i złota.



12. Ostatnie wspólnie spotkanie Pani Wandy z Jadzią i Tadeuszem na terenie Polski, 1992 r.

Z racji tego, że była to duża rodzina, potrzebowali kilku miejsc, by wszyscy mogli się ukryć. *Rodzina Gothelfów, ukrywająca się w Warszawie, potrzebowała schronienia. Pamiętam, że był to piątek. Wróciłam z Pruszkowa, dokąd w każdy piątek jeździłam po mydło, i w domu mama, wpuszczając mnie do mieszkania, poinformowała, że przyjechały do nas cztery nowe osoby. Zaprowadziła mnie do pokoju*

i przedstawiła: „To moja młodsza córka Wanda”. Poznałam Helenę i jej syna,

Józia oraz Bronkę i jej syna, Jerzyka - wspomina pani Wanda.

W 1943 r., kiedy Niemcy w zamian za złoto rozpoczęli wywóz Żydów do tzw. "Raju", rodzina Gothelfów nawiązała kontakt z ludźmi, którzy następnie odjechali pierwszym transportem. Gdy otrzymali od nich list, że są szczęśliwi i bezpieczni, postanowili postąpić podobnie. Zgłoszenia chętnych Żydów do "Raju" przyjmowano w Hotelu Polskim w Warszawie, więc wybrali się tam i oddali w zamian za miejsca całe złoto i biżuterię. Początkowo mieli jechać wszyscy, cała bardzo liczna rodzina. Pieniądzy wystarczyłoby, lecz nie wszyscy chcieli wyjeżdżać.

Miejsca zostały wykupione i wszyscy mieli pojechać drugim transportem. W momencie, w którym zapadła decyzja o wyjeździe, czworo z Gothelfów mieszkało od dłuższego czasu u państwa Turczyńskich. Podczas swojego pobytu wspomagali finansowo pobyt innych Żydów w Brwinowie, dzięki czemu łatwiej było zdobyć choćby nieco większą ilość jedzenia dla ukrywających się w domu przy ul. Leśnej 28.

Do Brwinowa przyjechał pan Wakar, współpracujący z Hotelem Polskim, z przepustką na zabranie czterech osób z rodziny Gothelfów, którą pokazał pani Helenie Turczyńskiej. Wówczas na Leśnej przechowywały się również Anna Mintz i Bela Montrol wraz z córką Lusią. Wszystkie schowały się w schronie, zrobionym już wcześniej w piwnicy domu przez Adama Drozdowicza i pana Bolesława, na wypadek gdyby pan Wakar współpracował z Niemcami i mógł komuś powiedzieć o obecności większej liczby Żydów. Helena, Bronisława, Józef i Jerzy wyjechali od Turczyńskich i dołączyli do reszty rodziny w Warszawie. *Pożegnanie było krótkie: Nigdy was nie zapomnimy, za waszą gościnę i wielkie serce Heleny. Będziemy w kontakcie* – mówi pani Wanda.



13. Tadeusz i Jadzia Gorodeccy podczas uroczystości z okazji ich pięćdziesięciolecia, 1992 r.

Ze wszystkich Gothelfów tylko jeden powiedział, że nie jedzie. W czasie okupacji dostał kenkartę na nazwisko Tadeusz Ptaszek. Był jasnym blondynem z szaroniebieskimi oczami i semickimi rysami. Działał w czasie powstania, a potem został wywieziony z oficerami do oflagu na terenie Niemiec, gdzie doczekał końca wojny i przyjechał do Polski po wyzwoleniu oflagu przez aliantów. Po wojnie zostawił sobie imię Tadeusz i przyjął nazwisko żony.

Tadeusz poznał Jadzię [Ryfkę] Gorodecką, w której zakochał się na zabój. W 1942 roku wzięli ślub. *Piękna dziewczyna, czarnula. Piękne, kręcone włosy, śliczne, czarne oczy, pięknie mówiąca po polsku, no w ogóle nadzwyczajna* – opisuje Jadzię pani Wanda. *Tadek zakochał się w niej i powiedział, że nigdzie nie jedzie.* Gothelfowie byli gotowi zapłacić za miejsce dla Jadzi, byleby Tadeusz pojechał z nimi, lecz pojawił się kolejny problem. Otóż Krysia [Cypa] Gorodecka, siostra Jadzi, przekonała ich mamę, Chanę, żeby nie pozwoliła młodszej córce wyjechać z Tadeuszem, gdyż nigdy już jej nie zobaczą. Uważała, że "Raj" jest pułapką i każdy, kto tylko tam trafi, zginie. *Nie ufała Niemcom, no nie wierzyła im, a ponieważ była najstarszą córką, to miała najwięcej głosu w rodzinie* - dodaje pani Wanda.

Gothelfowie bez Tadeusza i Jadzi pojechali drugim transportem. Po upływie kilku dni do Turczyńskich doszła pocztówka nadana w Sochaczewie: *Jesteśmy szczęśliwi i jedziemy do rajy (...)* *Odezwiemy się jak będziemy na miejscu.* Od tamtej pory ślad po całej rodzinie Gothelfów zaginął, nikt nigdy nie dał znaku życia. Po czasie okazało się, że drugi transport Żydów dotarł do obozu koncentracyjnego. Bilet do "Raju" okazał się dla nich wyrokiem śmierci. Z całej tak licznej rodziny przeżył tylko Tadeusz. Jadzia i Tadeusz Gorodeccy szczęśliwie przeżyli wojnę i w 1960 r. wyjechali do Izraela. *W czterdziestym drugim wraz z Jadzią wzięli ślub. W dziewięćdziesiątym drugim roku odbyła się w Warszawie*

uroczystość z okazji ich pięćdziesięciolecia. Tadeusz kupił swojej żonie 50 czerwonych róż. Przyjechali pod koniec czerwca do Zakopanego, gdzie czekała już na nich pani Wanda i dwa, trzy tygodnie czekali na przybycie córek. Ja byłam organizatorem tej uroczystości, takim mistrzem ceremonii. Było bardzo miło... - wspomina pani Wanda.

A Tadek dzięki miłości, którą spotkał, przeżył. Postawił na żonę, którą ubóstwiał przez ponad pięćdziesiąt dwa lata... - dodaje w zadumie.

Moja rodzina miała dużo szczęścia

Zabawa w chowanego, w berka, w klasy, w inteligencję, to element codzienności sprzed wojny. Dzieci z sąsiedztwa lubiły wspólnie spędzać czas. Jak wspomina pani Ada, na miejsce spotkań upodobały sobie duży kamień pod wysoką topolą na rogu ulicy Leśnej, gdzie styka się ona ze Sportową.



14. Od lewej: Lusja Montrol i Wanda Kołomińska, 1948 r.

Wybuch wojny wiele zmienił w ich życiu. Chodziło się już na lekcje nie do jednej dużej szkoły, bo zajęli ją Niemcy, ale do prywatnych mieszkań. Na ulicach zrobiło się niebezpiecznie, a każde wyjście rodziców rodziło obawy, czy wrócą. *Nawet gdy szli niedaleko po chleb, to i tak czas do ich powrotu bardzo się dłużył – mówi pani Ada.* Wandzia Turczyńska miała siedem lat, gdy rozpoczęła się wojna. I jak większość dzieci musiała stać się bardziej samodzielna i odpowiedzialna. *Ja byłam małą pomocą. Raz w tygodniu w piątki jeździłam do Pruszkowa po mydło, chodziłam do Podkowy do młyna - kaszarni po kaszę jaglaną, do sklepu po bułki i do piekarni po chleb. W soboty raniutko szliśmy razem z mamą na targ po jarzyny, czasem udało się kupić parę jajek, kurczaki.* Wandzia Turczyńska roznosiła też ulotki, które z Warszawy przywoził jej tata. Nosila za duże buty i upychała w nie nielegalne papiery. To wtedy nauczyła się dochowywać tajemnicy. Kiedy w ich domu pojawiali się kolejni ukrywający się, ta samodyscyplina bardzo się przydała. Nakaz zachowania tajemnicy był tak silny, że Wandzia nie zdradziła się nawet przed swoją najlepszą przyjaciółką, Adą, z którą przecież spotykały się niemal codziennie w szkole i podczas zabawy. Po prostu czasu wolnego Wandzia miała niewiele, a *Adelcia to nawet czasem miała do mnie pretensje, że nie przychodzę do niej bawić się lalkami.*

Strach przed ujawnieniem faktu przechowywania Żydów był ogromny. Żeby uniknąć posądzenia o ukrywanie kogokolwiek, Adek zaproponował, żeby od czasu do czasu, dla odwrócenia uwagi, organizować spotkania sąsiedzkie, na które zapraszano mieszkającego niedaleko komendanta policji w Brwinowie. Wtedy ukrywający się u Turczyńskich Żydzi chowali się, schodzili na dół do schronu i siedzieli cicho przez kilka godzin. Jednak kiedyś i do ich domu wpadli Niemcy.

Wandzia zawsze była lepsza z matematyki, wspomina pani Ada. Pewnego dnia, gdy w szkole był sprawdzian, zauważyłam, że Wandzia nic nie napisała i siedzi ze spuszczoną głową. Zapytałam

- Czemu nie piszesz, Wandziu, co się stało?

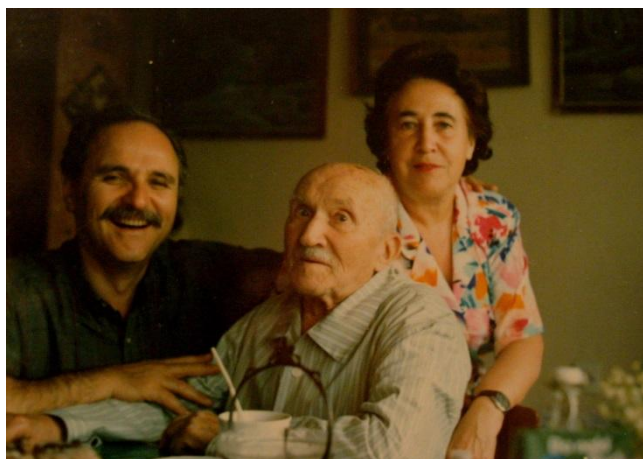
- *Byli u nas Niemcy i szukali Żydów* – odpowiedziała.

Ten dzień tak zapamiętała pani Wanda: *Najgorszym momentem był nalot hitlerowców na nasz dom w lipcu. Wtedy wszyscy zdążyli się schować i nikt ich nie znalazł, ale pamiętam, że trzymali moją mamę w kuchni przez bardzo długi czas, a ja siedziałam na tapczanie, stojącym na dziurze do schronu. Niemcy wszędzie chodzili, tłukli naczynia i wszystko przeszukiwali. Nikogo nie znaleźli. Myślę, że to był cud.*

Od tego momentu, jak mówi pani Wanda, *byliśmy chorzy ze strachu. Nie opuszczał nas paniczny strach.*

Oni z czystej miłości do ludzi rozpoczęli tą swoją akcję

Po wojnie z uratowanych przez Turczyńskich Żydów nikt nie pozostał w Polsce. *Od chwili pożegnania na Dworcu Gdańskim byli z nami w stałym kontakcie aż do śmierci: Adek, Anna Mintz, Chaja Weisblatt, Bela Montrol, Gorodeccy (Krystyna, Jadzia, Piotr). Adaś Weisblatt wyjechał najwcześniej. Przez wiele lat pisał listy, zawsze po angielsku – dodaje pani Wanda. Potem kontakt urwał się. Adaś zmienił adres i nie można było do niego dotrzeć. Po latach udało się odszukać rodzinę Weisblattów: żonę i synów, ale Adaś już nie żył. Natomiast z Lusią Montrol (obecnie Orą Kamay) i Rysią do dzisiaj rozmawiamy telefonicznie. W ostatnią sobotę prawie dwie godziny rozmawiałam z Lusią. Raz na jakiś czas organizowane były spotkania i wtedy, kto mógł, to jechał do Stanów. Urlopy były planowane tak, żeby Adek mógł przyjechać z Brazylii, Jadzia z mężem z Izraela, a ja z Polski. Na 2001 rok planowany był zjazd w Brazylii, na który z powodu choroby pani Wanda nie pojechała.*



15. Bolesław Turczyński i Wanda Kołomijska wraz z synem Adka, Bronkiem Drozdowiczem.

Po latach zaprzyjaźnieni z Turczyńskimi żyjący i utrzymujący z nimi kontakt dawni podopieczni zorientowali się, że ta polska rodzina, ratująca niegdyś Żydów nie została doceniona. Wszczęli więc starania o uhonorowanie ich tytułem Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. *Wszyscy ukrywający się u nas zjechali się do Izraela, gdy otrzymaliśmy medal. To było wzruszające spotkanie, na którym wspomniano odwagę i dobroć całej rodziny Turczyńskich.*

Jeszcze przed wyjazdem z Polski Adaś Weisblatt powiedział do pani Ady, że w czasie okupacji, gdy musieli się ukrywać, to u Turczyńskich było najlepiej.

Bela Montrol wraz z Lusią do końca życia nie zapomniała pomocy, którą ofiarowała im rodzina Turczyńskich. We wspomnieniach Beli czytamy: *I tu chcę opowiedzieć o pobycie u rodziny Turczyńskich. Stosunek do nas był nadzwyczajny ze strony wszystkich członków rodziny. Czuliśmy się jak członkowie rodziny. Pomimo że narażali się wszyscy życiem, a czasem były chwile bardzo ciężkie, mimo to nie dawali odczuć, że jesteśmy dla nich ciężarem. (...) Na początku miałyśmy trochę pieniędzy, ale szybko się skończyły. Wtedy zwróciłam się do Heleny Turczyńskiej i prosiłam ją aby nas w nocy wyprowadziła z mieszkania. Pani Helena nie chciała o tym słyszeć i zaznaczyła, że ostatnim kęsem chleba będzie się z nami dzielić by nas ratować.*

Po latach Lusja (dzisiaj Ora Kamay) wspomina - *Pamiętam, że na Wielkanoc losowałyśmy z Wandą pisanki. (...) Jak było Boże Narodzenie, to ubierałyśmy choinkę. (...) Atmosfera w domu była bardzo dobra, można było zapomnieć o tym, jaka jest sytuacja. (...) Wspominam bardzo miło ten okres, dlatego że myśmy były jak członkowie rodziny. (...) Nie czułyśmy, że jesteśmy u kogoś pod butem schowane, tylko czułyśmy się tam bardzo dobrze.*

Dobroć i otwartość rodziny Turczyńskich potwierdza w zeznaniach do Yad Vashem prof. Adam Drozdowicz: *Paradoksalna sytuacja polegała na tym, że wśród tych mieszkań, którymi dysponowałem, najlepsze były bezpłatne, u ludzi niesłychanie szlachetnych i dobrych ale u ludzi niesłychanie biednych. Miałem takie mieszkanie np. w Brwinowie pod Warszawą u państwa Turczyńskich; oni jeszcze nie mają swojego drzewka w ogrodzie Jad Washem w Jerozolimie, ale są to ludzie, u których przechowywanych mogę liczyć na "naście". Była to niezwykła zupełnie rodzina: mąż, żona i wówczas dwie małe córki, dzisiaj już dorosłe panie. Oni z czystej miłości do ludzi rozpoczęli tą swoją akcją i nie tylko byli narażeni - bo tam było kilka przypadków konkretnego zagrożenia - ale ludzie, którzy głodowali razem ze swoimi podopiecznymi. Tak więc było, że w tych moich najlepszych mieszkaniach trzeba było dawać na utrzymanie zarówno tym Żydom, jak i gospodarzom.*



16. Zdjęcie medalu, który otrzymała rodzina Turczyńskich za pomoc Żydom, odznaczenie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w 1984 roku.